

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 14 KWIETNIA 1928 ROKU

NR 16

TREŚĆ NUMERU: Święto matki w Polsce — *Natalja Jastrzębska*, Żalose macierzyństwo — *J. K. Kapłanki* wieków — *M. H. Szpyrkówna*. Poezje: „Ballada”, „Godziny”, „Powrót nad rzeką” — *Zofja Kachelówna*. Chryzantes i Darja (c. d.) — *Z. Reutt-Witkowska*. Za ramą lustra (nowela) dok. — *Herminja Naglerowa*. Z okna wagonu — *Ewa Szelburg*. Z książek — *S. P. O. Z teatrów* — *S. P. O. Nakrycie głowy a dach (dok.)* — *L. Z. Jak prasować i dekatyzować w domu materiały* — *J. S. Jadłospisy wiosenne* — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek: „Mody i roboty: Nowe spódniczki” — *Well*. Garsonka cieniowana na drutach. Meble na letniska, proste, łatwe do przewożenia i niekosztowne. Wzór aplikacji i haftu na dużą poduszkę na podłogę. Dodatek „Kultura Ciała”: Dwie twarze — *Ora*. Maski — *Dr. J. Świtalska*. Mój system — *Dr. J. Świtalska*. Ćwiczenia mięśni brzucha — *Dr. J. F. Słów kilka o kosmetyce gruczołów piersiowych* — *Dr. med. Marta Biernacka*. Dodatek powieściowy: „Niewolnicy” — *Monteiro Lobato* — przekład z portugalskiego *J. Świerczewskiej*. Tablica kroju.

ŚWIĘTO MATKI W POLSCE

Są rzeczy, które wszyscy czują, o których ciągle się mówi, którym poświęcono powszechną cześć i uwielbienie, a które jednak nie zostały jeszcze wy-czerpane, odczute i omówione do głębi, których ludzkość, od doskonałości daleka, doskonale jeszcze nie odczuła i nie zrozumiała.

Jedną z takich jest istota macierzyństwa. Uczucie matki—jego znaczenie dla ludzkości, jego w niej dostojeństwo.

Religia nakazuje cześć dla rodziców, dodając jednak jeszcze osobno w przykazaniu: „Nie zapominaj nigdy boleści, które dla ciebie cierpiała”.

Myty i legendy wszystkich wier składają hołd macierzyństwu, które wieńczy religia chrześcijańska, oddając ród ludzki pod opiekę Matki Bożej, orędowniczki ludzkości.

Prawo kodeksowe i obyczajowe wszystkich narodów szanuje kobietę-matkę, tam nawet, gdzie obyczaj widzi w kobiecie niewolnicę.

A cywilizacja nowoczesna w całym swym stonku do kobiety wysuwa na pierwszy plan jej zadania macierzyńskie. Ochrona praw matki jest jednym z najwcześniejszych i dotychczas najlepiej uwzględnionych postulatów kobiecych. Nie spotkała się ze sprzeciwem i została zrealizowana w tych nawet krajach, gdzie uwzględnienie innych uprawnień idzie dotychczas opornie.

Ukochanej i świętej postaci matki, jej miłości, jej wspomnieniu poświęcili szereg najpiękniejszych prac wielcy twórcy, artyści i pisarze. Do bohaterstwa matek zwracali się w ciężkich dla narodu chwila-

chach mężowie stanu i wodzowie. Liczni wielcy ludzie, genialni twórcy, przeszli przez życie z ekstatyczną wprost miłością dla matek, jak Słowacki, jak De Amicis, który w swym „Sercu” mówi te bolesne, przepiękne słowa: „choćby cię wiele bólów spotkało w życiu, najcięższym będzie dzień, w którym stracisz matkę”.

A każdy zwykły człowiek, nieraz nieczuły, egoista, lub zepsuty—znajdzie jednak zawsze w swym sercu uczucie dla matki, i chyba tylko potwora w ludzkim ciele nie wzruszy jej miłość i jej wspomnienie.

A jednak w tym powszechnym odczuciu wielkości macierzyństwa brakowało powszechnego wypowiedzenia się, realnego wyrazu hołdu ludzkości, złożonego matce. Hołdu, któryby wypowiedział zbiorowo to, co czuje każde poszczególne serce ludzkie.

Nie było Święta matki—dnia—poświęconego jej specjalnie.

Zainicjowała ten dzień Ameryka. Tam to powstał projekt, aby drugą niedzielę majową uczynić dniem matki. W dniu tym każde dziecko i każdy człowiek dorosły pojedynczo, i wszystkie instytucje i zrzeszenia łącznie—składają matkom wyrazy miłości i czci.

Za przykładem Ameryki poszły wkrótce kraje skandynawskie, od r. 1924—Austria, a w r. b. Rada Narodowa Polek wezwała nasze społeczeństwo do zorganizowania podobnego obchodu.

Sprawa jest w fazie przygotowań od grudnia zeszłego roku, w końcu marca odbyło się zebranie informacyjne, i przystąpiły już do akcji stowarzyszenia Czerwonego Krzyża, Związek Kobiet Katolickich, Ra-

da Narodowa Polek, Koło Polek, a inne zrzeszenia przyłączają się w dalszym ciągu.

Program obchodu został już zakreślony w ogólnych zarysach. A więc odbędą się w tym dniu nabożeństwa w świątyniach wszystkich wyznań, potem akademje; wieczorem zaś wszystkie koncerty, kinematografy i widowiska mają w swych programach uwzględnić sztuki i pokazy, w których na pierwszy plan wysuwa się miłość macierzyńska, jej piękno, szlachetność i poświęcenie. Dzieci szkół, ochron i t. p. zostaną wezwane do przygotowania na ten dzień drobnych podarków i pamiątek dla matek, dzieci zaś sieroty odwiedzą matki osierocone.

Program ten, naturalnie, zakreśla tylko ogólne, szerokie zarysy obchodu, który nie może być szablonem, nie może i nie powinien polegać na formie, tylko na najgłębszej treści.

I tu właśnie leży trudność, nad którą wiele przemyślały inicjatorki obchodu. Przy bliższym rozpatrzeniu, bowiem, zmieniają się dziwnie zarysy idei tego świata.

Zależne jest ono tak bardzo od różnych okoliczności i różnych ludzkich uczuć! Dla dziecka, uwielbiającego matkę, dla człowieka, który ją utracił, w którego sercu trwa niezagojona nigdy kropla bólu — niepotrzeba dni specjalnych: dla takich każdy dzień i każda dnia godzina jest tem samem misterjum miłości; dla dobrych, małych, lub starych dzieciaków — to jedne więcej imieniny mamusi, okazja do powiedzenia jeszcze jednej czułości, do nowej pieszczoty

i niespodzianki; dla obojętnych i mniej kochających, — to może wyrzut sumienia, a może okazja do rozbudzenia drzemającej siły miłości. A czem dzień ten ma być dla was, tak licznych dzieci nędzy, nieszczęścia, występku, w których groza ciężkiego życia stłumiła uczucie od najpierwszych dni dzieciństwa?

A jednak dla tych właśnie dzień taki jest najpotrzebniejszy.

Święto matki nie może być wyłącznie akcją dobroczynną dla ubogich, ani formalną uroczystością: zadaniem jego najgłębszem jest uświadomienie w sercach ludzkich tego, co każdy odczuwa, tylko każdy w niezmiernie różnej skali, podniesienie ważności i świętości tego odczuwania, wykazanie jego wielkiej roli w życiu każdego człowieka, zarówno duchowem, jak i materjalnem.

To przedewszystkiem uwzględnić, podnieść i rozwinąć należy.

Choćby najlepiej udał się ten obchód, — nie zbudzi on od pierwszego razu wszystkich sił potencjonalnych, ukrytych w istocie swej idei; ale gdy stanie się obyczajem, gdy ogarnie coraz szersze koła, — poruszy z czasem wszystkie serca, dotrze do najzimniejszych i wyzwoli wielkie siły najczystszej, najświętszej miłości ku pokrzepieniu ludzkich dusz i naprawie ludzkiego życia.

Bo dla każdej duszy i dla każdego ludzkiego życia — matka, jakiegokolwiek byłoby jej imię istotne, jest „tą, która się zowie między duchami Boga „moje zdrowie“.

Natalja Jastrzębska.

ŻAŁOSNE MACIERZYŃSTWO

(Sprawa akcji społecznej pomocy dla matek samotnych i niemowląt).

„Chciałabym pracować społecznie; mam czas i dużo dobrych chęci, ale nie wiem, jak do tego się zabrać“.

Często słyszy się pośród pań naszych podobne słowa. Mówią tak i piszą nam Czytelniczki, prosząc o radę.

Zdajemy sobie sprawę, iż pola do pracy jest aż nadto wiele. Trzeba jednak dobrze wybrać. Według zamiłowania i możliwości współdziałania intelektualnego, organizacyjnego i materjalnego. I mieć szczerre postanowienie dawać swój trud, a spodziewać się więcej trudności, niż przyjemności.

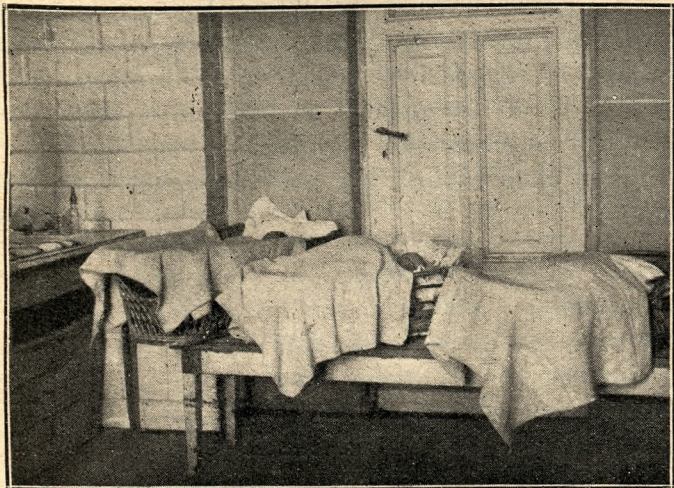
Jedną z najłatwiejszych rzeczy, do jakich może zabrać się kobieta — to dziedzina opieki nad matką i dzieckiem. Najłatwiejsza, by się do niej zabrać — to nie znaczy najłatwiejsza, by ją dobrze wykonać. Jen o sercu najprzystępniejsza — najbliżej przemawiająca do uczucia i współczucia...

Zresztą, dziedzina rozległa i różnolita.

Jeśli dziś mam mówić o opiece nad matką samotną, porzuconą czy opuszczoną, i o jej dziecku, tem biedactwie, którego ona już wstydy się, zanim je urodzi — to dlatego, że jest to sprawa zaniedbana, sprawa bolesna i wlokąca ze sobą całe pasmo łez, mąk, upokorzeń i krzywd kobiecych.

To, co określa się, jako „macierzyństwo nieślubne,“ przestało już w oczach ludzi, godnych tego miana, stanowić pretekst do pogardy, wstrętu i zgorznięcia. Tylko fałsz i przewrotność obyczajów „cywilizowanych“ z jednej strony, a interes majątkowy rodzin z drugiej — potępił i prześladował matkę bez męża i dziecko „niewiedomego ojca“. Jeżeli rodzina wyrzuca na bruk młodą dziewczynę w ciąży — to nie z troski o zbawienie jej duszy, a dlatego, że nie chce „kłopotu“ w domu.

Jeżeli prawo cywilne nie dopuszcza dziecka „nieślubnego“ do dziedziczenia po ojcu — to, oczywiście,



Niemowlęta w schronisku w Grochowie

nie z pobudek ideału moralnego, a wręcz wbrew sprawiedliwości. Olbrzymia część niewinnych ofiar unika tego losu tylko dlatego, że 50—90% dzieci, zrodzonych poza małżeństwem, umiera w pierwszych tygodniach i miesiącach życia.

Ze śmiertelnością „niepożądanych” niemowląt miały walczyć tzw. domy podrzutek. Rezultaty, osiągnięte na tej drodze, są i muszą być bardzo nikłe, gdyż niemowlę bez matki, nawet przy dobrej stosunkowo opiece, źle się czuje i trudno się chowa. Odkryto tedy, nie tak dawno, tę prostą prawdę, że nie należy poza wyjątkowymi koniecznościami (gruźlica matki etc.) rozłączać matki z niemowłędem, a dać jej taką pomoc materialną i opiekę higieniczną i moralną, by mogła i chciała wychować swe dziecko.

Taką też drogę obrała Sekcja Opieki nad matką i niemowłędem przy Kole Pracy Kobiet, (Warszawa, ul. Kredytowa 16). I tam jest ważna placówka, tam jest praca dla was, kobiety uspołecznione, szczęśliwe, mające własne ogniska domowe, od których zły los odepchnął szeregi matek wydziedziczonych!

Mówię „zły los”, bo jednak ogromna, przerażająca większość kobiet, które z maleństwem na ręku przychodzą do biura Sekcji Opieki, wynędzniałe od trosk i blade po niedawno przebytych cierpieniach rodzenia, ubogie i bezdomne — to są ofiary losu, porzucone żony, oszukane narzeczone, odepchnięte kochanki.

Panie z Sekcji Opieki, które znają dobrze swoje klientki na podstawie wywiadu i rozmów z nimi, stwierdzają z całą stanowczością, iż są to dobre matki. Kochają swe dzieci, dbają o nie i nie chcą ani pozbyć się ich, ani rozstać się z nimi.

Czyż nie trzeba być dobrą matką, by narażać się, oprócz zwykłych cierpień, na tyle przykrości, upokorzenia i nędzy, na ile narażona jest matka samotna?

Zresztą — popatrzcie na nie! Młode — niektóre i 20-tu lat nie mają. Przeważnie proletariuszki, czasem zabłąka się jakaś półinteligentka-pracownica. Ich

warunki egzystencji narażały je niewątpliwie bardziej, niż beztroskie córki rodzin mieszczańskich. Zepsucie i nieuczciwość rzadko bardzo się zdarzają, a najczęściej oto lekkomyślność, naiwność, temperament biorą górę. Młodość i miłość, skojarzone z nadzieją, często obietnicą małżeństwa. A potem?

Dzieje rozczarowań, krzywd, skargi na fałszywego narzeczonego, na niegadziwego męża lub towarzysza — płyną ze łzami. Czasami tylko zawziętość i pogarda „nie chcę nic od niego” — albo i bezzałosna tkliwość „on mnie tak kochał!” Wszystko to prowadzi do jednego: do troski o dziecko, o pracę, która dałaby kątek mieszkalny i pożywienie. I poto przychodzą biedaczki do biura na Kredytową 16.

Czeka je tu zawsze jakaś pociecha. Drobne zasiłki pieniężne, opłata za mieszkanie, „wyprawka” dla dziecka, bielizna, pieluszki. Wrazie potrzeby — porada prawna: można polubownie, czy sędownie uzyskać od ojca dziecka alimenty. Najważniejsze, że zdarzy się i praca, o którą zabiega sekcja Opieki, starając się umieszczać matki razem z dziećmi.

Bywają i tak uroczyste wypadki, że dzięki perswazjom i dobroci opiekunek, wzrusza się mało czuły ojciec i decyduje się na małżeństwo z matką. Potem bywa nawet bardzo szczęśliwy i dziękuje za interwencję, która doprowadziła go do rozsądku i uczciwości... dała mu ognisko domowe i rodzinę, o czym sam nie byłby pomyślał. I tak się zdarza, zwłaszcza wśród ludzi małych i prostych.

Opieka sekcji nad matką i niemowłędem trwa zasadniczo rok. Wystarczy to narazie do unormowania życia kobiecie w najcięższych chwilach. Ale opieka ta jest bardzo ograniczona brakiem środków, rzeczywiście minimalnych, na liczbę 200 kobiet przeciętnie. Bezpośrednio po urodzinach dziecka, po wyjściu z zakładu położniczego, mogą matki przebywać przez kilka tygodni w schronisku w Grochowie pod Warszawą. Ale i tam jest bardzo skromnie i mało miejsc — zaledwie 15.



W schronisku w Grochowie

Jest tu ogromne pole pracy społecznej dla kobiet.

Trzeba pomóc Sekcji Opieki nad Matką i Niemowlęciem w jej zadaniach, trzeba pomóc jej w rozszerzeniu działalności. Trzeba poruszyć opinię i zainteresowanie władz państwowych i samorządowych. Powinien powstać duży komitet, który zająłby się

stworzeniem i budową Wielkiego Domu dla Matki i Dziecka, prawdziwego domu rodzinnego dla matek samotnych. Znalazłyby w nim spokój i ostoję, oraz odrodzenie sił fizycznych i duchowych, a racjonalne podstawy wychowania dla dziecka. Niechże więc do takiej akcji zabiorą się panie w stolicy i na prowincji.

J. K.

M. H. SZPYRKÓWNA

KAPŁANKI WIEKÓW

Rozpaczam dziś cykl, który, myślę, że niewątpliwie każdą kobietę, a zapewne—i niejednego mężczyznę zajmie głębokiem i niepowszedniem podłożem. Nie będzie ono, oczywiście, w żadnej mierze moją zasługą: jestem tylko instancją pośrednią, głośnikiem, podającym dalej i donośniej to, co mu zostało powiedziane.

Dlaczego mówię, że zainteresuje każdego—mężczyznę i kobietę? Bo mówi nie o kobiecie, albo mężczyźnie, tylko — o Człowieku.

Dlaczego podłoże ma niepowszednie i głębokie? Bo jest jednym z nielicznych dokumentów nieznanych nam stanów ducha, kiedy polot jego przekracza wszelkie możliwości i granice normalne, a przenika w dziedzinę, zwaną powszechnie: objawieniem, czy ekstazą. Poprzez wieki liczymy kilka takich różnego polotu i miary dokumentów. Osobiście wybrałam ten, który podaje: rewelacje Anny Katarzyny Emmerich, której sprawa była zbyt głośna (oparła się o Rzym), aby o niej przypominać szczegółowo—a książki zbyt szybko wyczerpane, aby o nich wiedziano coś rzeczowego. Tymczasem, są to najcenniejsze i nieocenione wprost pod względem informacyjnym skarby zatraczone już dla nas ówczesności. Ówczesności, o której pisze, nie tej, w której żyła: bo żyła zaledwie kilkadziesiąt lat temu, zaś pisała o rzeczach, pogrzebanych przed dwoma tysiącami lat. I pisała tak, jak ja dziś, będąc w Nicei, piszę korespondencje do Warszawy. Spiritus flat, ubi vult! Zaiste! Lepszego zastosowania przysłowie to chyba nie znajdzie.

Nie wiem, jak nasza większość reaguje na lekturę „ekstazy”? Ja — słabo! Co począć! Jesteśmy dziś przeżarci krytycyzmem. Same eksklamacje nas nie zadowolnią, ani też się nie wzruszymy najtkliwszymi jeremjadami, o ile będzie w nich brakowało kośćca wszelkich objawień dzisiejszych: wiarogodności. Śliczne słowo! Coś musi być „godne” wiary! Każdy czasokres ma swoje sprawdziany tej godności. Wczorajsza, sentymentowa epoka—uważała za godne wiary to, co wzruszało serce i wyciskało

z oczu łezkę. A my dziś stwardnieliśmy na łezki i za godne naszej dzisiejszej wiary uważamy to, co—proszę się nie śmiać!—przemawia nam do... rozumu. Jesteśmy widocznie bliscy uzgodnienia—nareszcie—tych dwu, wiecznie wojujących, pierwiastków: rozumu i wiary. Najwyższy czas!

Otóż, Katarzyna Emmerich mówiła o swoich przedziwnych wycieczkach w czasie i przestrzeni — już dla nas. Dla nas—sceptyków, krytyków, sprawdzaczy i podchwytywaczy. Jest—ekstazyką współczesną. Nie unosi się nad niczem: jak historyk, badający ścisłe fakty, podaje fakty; jak geograf, uzupełnia je tłem etnograficznym; jak bystry obserwator, chwytą szczegóły charakterystyczne, które dopomagają do zrekonstruowania dawno zapomnianych obyczajów i obrządków; jak emisariuszka, przyjmuje zawierzone jej zgóry zlecenia i przekazuje to, co zostało jej powiedziane; jak pokorna i niewykształcona zakonnica, nie tai, że cokolwiek wie, zostało jej ukazane przez moce, których ona jest tylko narzędziem, ze siebie samej ani w milionowym ułamku do wiadomości, przez siebie komunikowanych, niezdolna.

Komunikaty te były podawane przez nią w najstraszniejszych cierpieniach, w nieuleczalnych atakach choroby, która ją podcięła ku śmierci. Jest to dla badacza zjawisk psychicznych samo przez się, jako technika, szeregiem problemów wręcz nadzwyczajnych, którymi niewątpliwie nauka się swego czasu zajmie, naturalnie wtedy, gdy już bezpośrednich obserwacji poczynić nie będzie w stanie i gdy nawet relacje świadków zbledną. Niezwykłym jest w nich nie dorywczność i ekstazyckość polotów zaświatowych, a — wręcz odwrotnie — ich cudowna powszedniość. W środku najzwyczajniejszych zajęć, prac, choroby i nad wyraz męczących odwiedzin, kiedy rewelacje jej stały się głośne: chora nie traciła nigdy wątku przedziwnej historii, jaka się przed jej oczami rozwijała, skoro tylko zamknęła powieki. Obudzona hałasem, czy cierpieniem, stawiała niejako krzyżyk w miejscu, dokąd doszła—i podejmowała ciąg od tego

punktu za następnym usnięciem, aby go opowiedzieć po przebudzeniu. Zdawałoby się, że na ziemi żyła poto, aby ziemskim językiem móc opowiedzieć kronikę zdarzeń, zapisanych wiekuistymi głoskami na niewidzialnych kliszach czasu—a których jednak człowiek współczesny odczytać jeszcze nie może. I w każdej chwili, kiedy z zapadaniem ciała w sen, duchem mogła przeniknąć w te niedostępne światy: Księga Dziejów leżała przed nią otworem, i podejmowała niejako przerwany wątek, który łączył się z wątkiem jej własnego życia niezbadanymi dla nas węzłami.

Rzym rozważał jej komunikaty w kolejnych fazach i, wreszcie, nie podając ich, jako objawień w ścisłym słowa znaczeniu, polecał, jako gorącym sercem chrześcijańskim przepromienione medytacje. Jako „medytacje“ też są ogłoszone drukiem. Ale sądzę, że jest to tylko forma ugodowa dla uniknięcia pretensyj na nieomylność, która może, będąc ze względów ostrożnościowych dobra, nie zgadza się stanowczo z charakterem jej zapodań. Zawierają w sobie wszystko, oprócz... rozmyślań! Nie więcej rozmyślałby recenzent, zapisujący od razu to, co ogląda na filmie historycznym, lub korespondent zagraniczny, dobrze powiadomiony o przebiegu wypadków, jakie się działy tam a tam. Komunikaty! Jest to bodaj jedynie właściwe słowo. Komunikowała poprostu, z całą szczerością zaznaczając, że tego a tego „zapomniała“, a że to imię brzmiało „zdaje się“ tak a tak. Charakterystycznym jest także zwrot: „Widziałam jeszcze dużo obrazów i szczegółów, odnoszących się do tego faktu, ale teraz już ich nie pamiętam“. I potem: „Dziś rzeczy, których zapomniałam z powodu bólu wczoraj, zostały mi ukazane znowu“.

Imiona, które powtarza, istotnie niezawsze są identyczne, ale zawsze — fonetycznie podobne: tak samo powtórzyłby człowiek, który cytuje coś słyszanego z pamięci. A fonetyka ówczesnych nazw miast i ludzi jest aż nadto trudna do zapamiętania dla współczesnego słuchu!

I oto ta szczególna, nieznana nam dusza, uwięziona na czas koniecznej pracy przy połamanem ciele, jak orzeł przy pługu: krwawemi skrzydłami holowała głąz obowiązku, na nią przez moce niewidzialne włożonego. O tem, jak to czyniła — możnaby napisać osobną książkę obok tego, co uczyniła: ale narazie zajmuje mnie jej dorobek. Nie cały: jest zbyt potężny — olbrzymiejący jeszcze przedmiotem jej komunikatów. Biorę tylko jedną jego część. Tę, która podnosi, przewijającą się jak srebrna i błękitna smuga poprzez krwią gorejące karty: Ideję Macierzyństwa. Zrodzona w tak dalekiej mgłę wieków, że początku jej nie znamy — ale którą wyniosły na fali już historyczne czasy, wieńcząc ją najwspanialszym kwiatem w postaci Marji, matki Chrystusa. Ideję, ku której grawitowały niejako tęsknotą i marzeniem wszystkie matki-izraelitki—i która dzięki temu, już samą zapo-

wiedzią swego pojawienia się między innymi kobietami Matki nad Matkami, stworzyła pojęcie kapłaństwa kobiety—inaczej: kapłaństwa macierzyństwa Nie potrzebujemy przypominać, jak wysoko istotnie u żydów dawniej stojące pojęcie, ani też, jak bardzo zanikłe we wszystkich narodach za naszych nowoczesnych dni!

I oto, pomijając fascynującą, jak najciekawsza książka, fabułę komunikatów Katarzyny Emmerich, odnoszących się do przedmiotu („Vie de la très Sainte Vierge“), chcę zrobić niejako wyciąg z jej rewelacji, bo otwiera nam wspaniałe perspektywy w zapomniane głębie wieków, na których początku stoi—Kobieta-Kapłanka. Chcę zebrać niejako rozsiane złote krople w jedno ognisko, które rzuca snop światła na dziedzinę ducha ludzkości przed przyjściem Mesjasza i na rolę potężną, wspaniałą i chwalebnią—jaką w niej kobieta odegrała. Książka, o której wspomina, ma jedną nieocenioną cechę: ukazała nam stronę codzienną, życiową i powszednią—ludzką niejako stronę potężnej tragedji wieków, której znamy stronę raczej—ponadludzką, raczej—boską. Wiemy cośnecioś o życiu Marji — o Zwiastowaniu — o dzieciństwie przy kolanach św. Elżbiety. Ale zupełnie nie umiemy sobie zdać sprawy, ile wiary, tęsknoty, pracy i wyrzeczenia, ile ascezy i świętości włożyła ta Dziewica ponad Dziewicami, aby zostać — Matką ponad Matki!.. Zupełnie nie wiemy, jak — młoda dziewczyna essenitka doszła — poza nadziemskimi mocami, które ją wspomagały — do tego punktu, że oczekiwany Mesjasz istotnie stał się jej synem?

Jest jedna wspaniała, jaśniejąca, jak słońce, poprzez rewelacje siostry Emmerich zasada: że kobieta była od praczasów nosicielką największej zapowiedzi ludzkości — Zbawiciela. I aby godnie sprostać temu zadaniu, by przygotować niejako najlepszą świątynię dla zstępującego na padół Boga: przygotowywała się od maleństwa do idei, że macierzyństwo jest błogosławieństwem, świętością i łaską Pana, a bezpłodność—jej odwróceniem. I jeżeli tylko mężczyźni byli kapłanami ołtarzy: kobiety były natomiast kapłankami macierzyństwa. Do kapłaństwa tego istniał szczególny, surowy trening, tryb zakonny w rygorze ściśle klasztornym, specjalna klauzula, prowadzona przy świątyniach, w którym to rygorze od trzeciego roku życia była chowana przyszła matka Chrystusa.

Dlaczego właśnie ona? Z jakiej linii rozwojowej mógł wybujać aż tak wspaniały kwiat przeduchowienia ciała, jakim była? Niepojętą nam dziś jeszcze tajemnicą siostra Emmerich przenikała nietylko fakty, ale niejako całą ich genezę duchową. I najprzedwinięjszy życiorys Marji, wywijający się z kolebki wieków, stawia nam przed oczy, w swojej drodze na ziemię, cały szereg postaci kobiecych, które go poprzedziły — różaniec ziarenek ducha, nanizanych na ciągłość jednej wielkiej idei poto, aby mógł na jej końcu zajaśnieć wreszcie — Krzyż.

ZOFJA KACHELÓWNA

BALLADA

Wąskie przejścia pod ostrem sklepieniem, rżniętem w łuk
 (Pod oknem kwitnie smukle ciernisty, krwawy głóg.)
 Spojrzenia zatrwożone, jak zradna klinga lśniące —
 a w górze bladożółte, krągłe, iglaste słońce. —
 Linja kobiecych biodr (melodja płynna skrzypiec).
 Rozkosz w pozodze krwi (upalny miesiąc lipiec).
 Jakieś gotyckie, wąskie, ukryte w murze drzwiczki —
 ślad: rozdarte, skrwawione, czarne rękawiczki. —

GODZINY

Zrana są pąki kwietne różowe i białe —
 (twarze dziewcząt, co jeszcze nigdy nie kochały)
 W południe są fontanny blasków i płomieni —
 (myśl wiosny o czerwonych owocach jesieni)
 Przedwieczorne godziny, godziny liljowe
 pachną smutkiem głębokim, jak zielone stawy —
 a noc pochyla nisko złotą od gwiazd głowę,
 by ukryć dobrze uśmiech bolesny i krwawy. —

POWRÓT NAD RZEKĄ

Zdumienie tak musi wyglądać, jak twoje oczy wieczorem,
 kiedy wracamy nad rzeką, zranioną tysiącem lśnieli.
 W powietrzu wilgotnem i ciepłym, w powietrzu jesiennem i chorem
 płatanów i róż już więdnących milczący kołysze się cień.
 Zdumienie żałośnie bezsilne, zdumienie niebacznie zdradzone —
 tak musi wyglądać jesiennie, jak kwiaty więdnące we mgle —
 jak oczy zranione żalnością, jak serce rozpacznie stęsknione —
 jak bajki — jak bajki szeptane wieczorem o tobie i mnie. —



Z. REUTT-WITKOWSKA

3

CHRYZANTES I DARJA

Z CYKLU „HESTJA”

Weszła tedy pod dach senatorów Darja, pouczona, iż młodzieńca pięknego do czci bogów nawrócić ma słowem wdzięcznym, a niewieściami przebiegi.

Weszła lotną stopą i bezpiecznie, w szatach drogich—a przed Chryzanta prowadzoną była, gdy właśnie, ojcu winę swą jawnie wyznawszy, w smutek się pokoików swych schronił był, ponad smutki przecie w niezłomnej serca swego trwając jasności.

Ojciec. Nie starał się nigdy bardzo myśleć, jakiby on też był prawdziwie ów ojciec jego, senator Polemjusz? Namphamowi chciał zawdy wierzyć, że kocha go ojciec i zawdy—oto wedle przykazania Boskiego—czcił ojca, matki nie mając, któraby uczcić rad.

Czczył jeno miejsce to, jakie wedle powiadania Ewodji zajmować lubiła starą modłą w atrium, wedle ogniska. W dies parentales... i w dni feralne zwykł był zresztą Polemjusz kadzidłem i wodą czcić Ognisko Domowe; on zawdy, Chryzant, podawał mu, dzieckiem jeszcze, obrzędowe przybory. I wtedy już wydawało mu się: ano opadną dymy, ojciec z poza nich urosnie inszy jakowys—wyższy i mocniejszy, czerstwiejszej twarzy, ócz władczych... Takiego bo sobie wymarzył ojca.

Tego zasię, bał się. Miękkiego tego, bladego człowieka bał się tak, jak dziecko niektóre dżdżownicy się lęka, czyli padalca. Myśli takowe grzeszne może? bezcześcią są? Toż słuchał go we wszystkim; w nauce był pilen.

Aż teraz oto przemówiła doń nauka dziwna, wołająca wręcz, iż przysła rozłączyć człowieka przeciw ojcu jego... albowiem odtąd będzie ich pięciu w jednym domu rozłączonych, trzej przeciwko dwom, a dwaj przeciwko trzem... Jakoz? Jakoz sprawić to, aby części nie chybić powinnej? Nic mu zresztą, słowa żadnego, co podzwaniałoby mieczem, nie rzekł ojciec, ale trząsł się cały, a głosem piskliwym i fałszywym z przed oczu swoich gnał precz, miotając się po wezglowiu, jakoby zeń powstać sił nie miał oddawna.

...Gdybyż matkę mieć!—Greczynką była przecie... włosów płowych... A nie spytał, dziw, nigdy nikogo, jakich patrzyła ócz barwą? Żaliłyż się te oczy Ognisku zimnemu?...

Szemrze zasłona... Wiatr pewnie. O godzinie tej księżycowej któzby? Fiołków woń, kadzidłu cennemu bliska, napełniła siedzibę Chryzanta.

A tak mu się woń ze snem nawrotnym, smutnym bardzo i dobrym o fiołkach ócz kobiecych splotła, że nie obejrzał się wcale... aż mu i na ramionach rę-

ce czyjeś lekkie się wsparły, i ciepłem wionęło, nigdy niezaznanem dotychmiast.

Podda się Chryzant zjawieniu przez chwilę długą. Aż i głos ku niemu tchnie słodki i smętny: „Chryzanciel!”

Uniesie wówczas głowy, i dziw, pomieszany ze strachem, porwać mu się każe, ku oknu bieć w złoty brzask miesięczny.

W anioła światłości przemienił ze się sam szatan?!

Przed nim, biała, perły drogic na złote włożywszy włosy, stała—ona! Darja! Onezyforowa krewniaczka sieroca, niepojętym cudem w Rzymie, tu, w ojcowem domostwie!

— Chryzanciel!... —powtórzy— a głos ma nad wszystkie fletnie świata i nad harfy, fiołkowy, słodki i smutny głos.—Nie przywodzi mię tu do ciebie żadna miłostka nieporządna, jeno płacz ojca twego, którym zjęta, przyszłam, abym cię bogom i jemu wróciła. A jako się to ma stać? Nie wiem sama. Wiem jedno, że dobra chcę twego.

Stała przed nim w nagłym onieśmieleniu dziewiczem—ona—ślubowana rytuałom, którym kwoli we wszelkiej miłosnej sztuce kształcono nietlatki. Tyle na urok swój wobec pacholęcia, nieświadomego miłości, liczyć mogła; bezradna stała, bezradnością swą ileż bardziej urocza. W tętnach głos szeptał jeno pałający:

— Mój to jest. W dzień raz ongiś zjawiony mi, słoneczny; a drugi raz...

Do oczu ściemniałych wtem zbiegło się płomieć ciche, godzące w Chryzanta.

Strzały one wżdy mocne żarów ziemskich o tarczę się jakowas nieprzebytą rozbiły. Sam nie wiedział, jak z ust jego własnych—a z oddali jakoby ogromnej, księżycowej bardzo, przedziwnej, padły ku niej słowa srebrne, czyste i łaskawe, z modlitwy wszystkiej, a wstrętów do świata, wrodzonych dziecięctwu jego, na jaw oto dobyte:

— Wierzęć. A przeto, iż dobrem było pragnienie twego serca, ja cię Bogu wrócę. I będzie ci objawiona wielkość i słodycz Królestwa. Błogosławieni albowiem czystego serca! Siądź, siostrze.

Jakoby we śnie, u nóg siadła Chryzantesowych, bo w chwili tej jednej umiłowali się miłością wielką w Bogu—i na wieki.

W noc ona srebrną Miłości spowiadała mu wszystką hańbę dzieciństwa, i zalewały się łez nieplakanych nigdy rosą ócz żalodne fiołki. On zasię cieszył ją Nauką o tem, jako wszelaka nędza i ból

ziemski, choć wielki, i zda się, sercu nieznosny, krótki jest i rychło koniec czyni. Jako przywodzą nas hańby, krzyże do żywota wiecznego i mękę krwawą, a upalenie i ogniska w wieczne zamieniają rozkosze; jako rozmiłowawszy się w poniewierce własnej, w chwale zasię wiecznej, przykładem Ofiary, serca nasze na mękę oną żywota ziemskiego mocne mieć mamy i gotowe...

Gdy wreszcie, w oknie stojący, główkę złotą na ramieniu swem poczuł ciężką od cierniowej, perłowej korony, gwiazd Bożych ukazał Hestję, a rzekł:

— Tam nam lepiej będzie.

O godzinie zasię przedrannej, perłowo-różanej, chrzczył ją tęczą rosy Niebieskiej, z murawy w konchę zebranej.

Byli już, jako ci w zmartwychwstaniu, którzy ani się żenią, ani zamąż idą, ale są, jako aniołowie Pańscy. Mocni, skrzydlaci, Mocą bezcenną i ducha wysileniem, nad żary wszystkie cielesne pjani.

Słodko bardzo.

* * *

Wiedli tedy ze sobą żywot istic anielski, jako dwa w słońce lecące skowronki.

Jeno był, który zmacił na chwilę, a zwarzyć oddech struty porwał się szczęście ono ziemskie Darji.

Sam poszedł Chryzant nocy tej do Pasterza, gdy siły mdłe nie pozwoliły Darji z harfiarką wraz, w szacie niewolnych, na Pańskie pośpieszyć uroczyste obrzędy.

Pół już prawie upłynęło nocy, gdy ołów ciężki jakoby w głowie parzący, wyrwie Darję do perystylu, kędy misternie strzyżone bukszpany rąbkim czarnym zamykają białobłękitne jeziorka lilij, błękitnosrebrne tafle hiacyntów, a czarną się grzywą bluszcz pomiędzy pnie srebrnobłękitne platanów młodych przerzuca.

Błękitnobiałe opuści Darja zagaje kolumn, a na srebrne się ścieżki nie waży. Na stopniu siedzie, gwiazdy witając, Boże Ogniska: „tam nam lepiej będzie...”

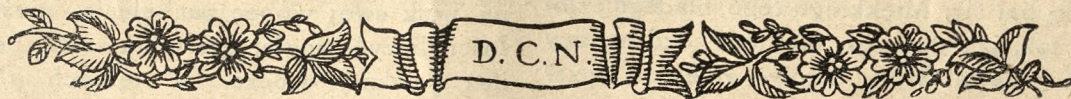
Jako wąż z poza grząd liljowych przysliźnie się... i żądem ust swych do stóp wtem przylgnie, w załany rzut się płacze, ślepy, głuchy, jadem słów zionąc... Kto zacz?!

— Łaknę cię... pragnę cię... mnie kwoli ze świątynim cię sprowadzał... bogini ty... mocarko ty... Chryzancika ty, rzezańczyka ty swego... zertwo...

W ramienia się przegub wpił, a słów już nie ma: serce Darja słyszy dudniące i woń ciężką skóry ciemnościadej, zapachowi drzewa sandałowego podobną...

Nie bronila się, przezornie, napastnikowi; aż chwili tej z bezpiecznego zapamiętania skorzysta — nagła — gibka — mocna — odrzuci szaleńca, jak szmatę; biegiem sarny głębi dopadnie domostwa, gdzie śpią spoczynku jej stróżki.

Dopala się trójramienny świecznik egiński. Połyski niepewne, ciemnosrebrne murrhy naczyń bezcennych, pełnych białego kwiecica... Koberca babilońskiego tajń, w którą twarzyczkę zatopi, niepamięci szukając wydarzenia zelżywego.



HERMINJA NAGLEROWA

4

ZA RAMĄ LUSTRA

(nowela)

I tak plątały się bezustanne rozmyślenia między za i przeciw. Sprawy domu i lekcyj kolebały się przystem na burzliwych falach, niczem tratwa, płynąca samopas. Niedomierzone szczypty soli, niedosłyszany fałsz akordu, ominięta dziura w skarpetce—nie sprawiały już żadnego wrażenia. Zawodziła bystra pamięć w rzeczach, tak dawno i tak dokładnie poznanych. A zato uczyło się z trudem tej nowej lekcji, która nie mieściła się w ramach dotychczasowego poznawania. Jak w tem skośnem lustrze nie można było widzieć tego, co przeszło granicę prostokątu zwierciadła.

Tymczasem miasto w przedświątecznym tygodniu nabrzmięwało wrzawą i burzyło się od ważnego pospiechu ludzkiego. Sklepy zalecały się już najgłośniejszym nawoływaniem: u mnie! tylko u mnie!— Na jakimś placu ciasno się zrobiło od czarnego lasu choinek i daleko wkrąg siała się kadzidlana woń żywicy. Trzeba było wiele namysłu poświęcić prezentom, aby miały wszystkie zalety: — cieszyły i były potrzebne.

Już szorstki, granatowy szewiot dla Rózi ułożył się w płaskiej paczce, gdy stanęło się przed ladą, żądając krawatów — modnych, najmodniejszych. Oczy pięknego subiekta patosowały: — oddam życie za cie-

bie, bogdanko! — a drżąc uprzejme ręce wiązały krawaty — jeden, drugi, trzeci. Trudno było wybrać: czy desień, jak zgniecione owoce, czy skośne pasy, niby wesoły sztandar nieznanego mocarstwa. Pokątne, jadowite szept ostrzegały wprawdzie: — Poco Kazio taki dernier cri? Aby tam, przed Bóg wie kim, zadawał szyku? — Ale przecież nadewszystko silniejsza była sama radość obdarzania. Gdyby miała pieniądze, kupiłaby nawet tę śliczną liljową jedwabną pyjamę dla Kazia i ten leciutki, piaskowy Borsalino. Miałby już na lato.

W kuchni działy się w tym czasie sprawy niepojęte. Tłuczek w moździerz oszalał; ciasto, ciepło otulone, pachniało korzeniami, niczem bogate podzwrotnikowe plantacje. Różia rozwierała usta aż do przepony brzusznej i wieściła: — rośnie! rośnie! — Połędwica, polewana masłem, syczała, jak wąż-kusiciel. Wreszcie mak w donicy zatańczył i, niczem prima-ballerina, zapienił się muslinem pianki. Mdłym zapachem oddychały karpie i szczupaki, a kapusta, zanim się stała wonnym bigosem, ziała ordynaryjnie, jak ostatniorzędna garkuchnia. Na szarym fartuchu Heleny rozsiał się archipelag tłustych plam, a przy piecu warowało się bodaj na klęczkach: uda się, czy nie uda? a właśnie na placku czubki kruszynek poczerniały znagła, jak od tchnienia zarazy. Gęś nieprzy zwoicie białem cielskiem rozparła się na stole i tylko wiotko zwisającą główką użalała się nad własną śmiercią. Twarde, suszone gruszki, jak czarne grudki błota, mokły w wodzie. Trzeba było mieć mózg wodza, który nieomylnie kieruje bitwą, a tymczasem Helena życzyła sobie choćby jeszcze kilku par rąk.

Kazio w tych dniach dopiero późnym wieczorem lądował w burzliwym domowym porcie. Ledwie miało się czas rzucić okiem na tę twarz, skrzywioną migreną, albo szarą od nierozpoznanych smutków. Kładł się jaknajprędzej do łóżka, i gdy Helena w parę godzin później na palcach wchodziła do sypialni, czarna czupryna Kazia wichrzyła się na poduszce, a oddech snu zacinął się westchnieniem.

Helena myślała wtedy: — Ma jakieś przykrości. Pewnie nie dadzą remuneracji, albo znowu ten szef... Ale, patrząc tak na śpiącego męża, wnet pojmowała, że smagły cień czoła nie tem się trapił. Ku skroniom Kazia spływały te jego śliczne brwi, kreśląc się spadziastą linią, niby w symbol żałości. Domysł podawał usłużnie: Czyżby cierpiał?

Potem już długo w noc nie można było usnąć. Mózg, nagle ożywiony, ruszał galopem, i nie było już żadnych przeszkód, którychby się nie dało wziąć. Niby w natchnieniu, zdobywała Helena świadomość najtajniejszych spraw. Trzeba było tylko jeszcze wy-

dobyć żywe słowo potwierdzenia, aby już nieomylnie wiedzieć.

Niecierpliwa bezsenność radziła: Obudź go, zapytaj! Lecz głos tkwił głęboko w gardle i nie chciał być posłuszny. Ręce szarpały się po kołdrze i w nagłej rozpacz podbiegały wgórze, czepiając się skroni, policzków. Powracał do serca dawny, zapomniany już płacz, lecz bardziej gorzki był smak łez skąpych i ledwie dobiegłych do źrenic. Aż sen, niby miękki gospodarski gałganek, ścierał wszystko do czysta,

Rankiem śledziło się z pod oka blade wargi Kazia, zdmuchujące ciche, żałosne słówka. Już sroga, niczem sędzia, pytała:

— Co ci jest?

Mówił: — Głowa mi pęka z tego wszystkiego!

Helena myślała, że w tej odpowiedzi może się pomieścić właśnie — wszystko.

W ostatni, przedświąteczny dzień, kiedy dom pachniał terpentyną i woskiem, a każde krzeselko własną ręką trzeba było okurzać, Kazio spóźnił się na obiad. Helena myślała cierpko, że pewnie z koleżkami „pławi rybkę“, ale na dobrą sprawę była zadowolona, że nie przeszkadza, gdy jeszcze tyle jest roboty. Posiedzą sobie zato dłużej przy wilji i, jak co roku, coś sobie będą wspominać, coś bardzo dalekiego, bladego, jak spelzłe kwiaty. Kazio, oczywiście, opowie... I nagle postanowiła brutalnie: — Nic nie opowie! nic nie chcę o tem wiedzieć, o nic nie spytam! A gdyby chciał mówić, zasłonię uszy i będę krzyzczeć, aby milczał, milczał, milczał!..

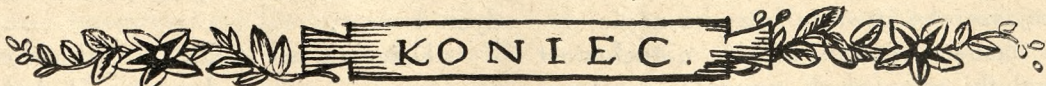
Zmierzch, jak szary dym, macił się na szybach, gdy Kazio wreszcie przyszedł. Nakrycie dzwoniło na stole, rzucone byle jak.

— Nie nakrywajcie dla mnie, nie będę jadł.

— Wilja będzie dość późno, zjedz cokolwiek; chyba, że byłeś już z miłymi koleżkami — burczała. Nie raczył odpowiedzieć. Wybiegł z sypialni i zatrzasnął za sobą drzwi. Helena postąpiła chwilę i bezmyślnie gładziła, gładziła załomy na obrusie. Cicho zabrzączał trącony talerz, Ale nie to usłyszała. Inny szmer — zrazu sypki, niczem szuranie kroków po żwirze, a potem, jak starczy, suchy kaszel — dochodził tu zza drzwi.

— Płacz!!

Poderwała się w biegu, lecz na lśniących, białych taflach drzwi — oparły się ręce i przytrzymały ją mocno. A potem, gdy zasiedli do wilji, gdy palce Kazia drżały przy opłatku i usta, całujące jej policzek, były jeszcze gorące od płaczu — Helena myślała, że jednak tę nową, trudną lekcję życia umie napamięć. Jak „Apassionatę“, jak przepis na tort — Choć działo się to za ramą lustra, choć spłyneło płaczem, w głuchy niebyt.





EWA SZELBURG

Z OKNA WAGONU

Siedzę oto za szklaną taflą, z której boku widnieje tabliczka z napisem: „Vlak Sarajevo-Gruz“ i myślę, że nie zmieniło się właściwie nic od czasów młodości księcia Firuz Szacha.

Oto dziś, tak jak przed wiekami, dosiadamy chętnie skrzydlatego konia, byleby pozwolił nazwać się uczenie „aeroplanem;“ korzystamy skwapliwie z usług pocziwych smoków, bylebyśmy je mogli dla swego widzimisię przechrzczyć nowocześnie na „pulanowskie wagony“, i bez żenady powierzamy się wnętrznościom Jonaszowego wieloryba, pod warunkiem, że pocziwiec wywiesi jakąś godną zaufania, angielską, francuską, czy też inną, dogodną nam, flagę.

Bo wszystko jest właściwie nieważne, prócz tego jednego: dostać się za wszelką cenę do królestwa Baśni, które zresztą nosi dziś popularniejszą nazwę: Rzeczpospolitej Rzeczywistości.

Mniejsza o nazwę.

Mniejsza też o wszelki trud, który zostaje zapomniany w tej samej chwili, w której wieńczy go powodzenie! Oto dziś, szczęśliwi posiadacze różowej kartki, z równie niezrozumiałym i magicznym, jak czcigodna „abrakadabra“ napisem, znaleźliśmy się po „tamtej“ stronie.

Przez chwilę jesteśmy oszołomieni, ale tylko przez chwilę. Bo wnet z właściwą sobie dziecinną zarozumiałością uważamy wszystko za naturalne.

Nie tracąc drogiego czasu na dziwienie się, wznosimy czemprędzej szeroko otwarte oczy ku nagle wyrosłemu ze skał lasowi minaretów, aby natychmiast opuścić je na malutki cmentarzyk, przytulony jednym

bokiem do obcej skały, a drugim—do jeszcze bardziej obcego toru kolejowego.

Puste wierzycki minaretów dostają do nieba — cmentarne nagrobki ledwie na wysokość kamiennych turbanów dźwigają się nad ziemią...

I im dalej jedziemy, tem trudniej nam jest odróżnić kamienie cmentarzy od cmentarzysk kamieni...

Widocznie jedne i drugie są tu powszednim chlebem.

Więc może w końcu stalibyśmy się smutni, gdyby nie to, że w tej mądrej bajce, jaką jest rzeczywistość, obok rzeczy przygnębiających są i wielce ucieszne.

Przekonaliśmy się o tem zaraz, gdy z cierniowej korony płotu wyskoczyła swawolna gromadka młodych kóz o bujnej sierści.

Na przodzie biegła najmniejsza i najbardziej kosmata.

Nie zlekła się ani trochę żelaznego smoka, stanęła, jak mogła, najbliżej i wojowniczo potrząsała ogromnym białym rogiem.

Z pod tego rogu patrzyły na nas zachłanne sześćioletnie oczy małego człowieka.

— Ależ to przecie dziecko! — zdumieliśmy się.

Gromadka kóz zaśmiała się dzwięcznym, przeciągłym bekiem i na jakimś trochę płąściejszym kamieniu zatańczyła czarnymi kopytkami szalony taniec czerwonoskórych, naigrawających się z głupoty białych twarzy.

Dzieciak w kudłatym kilimie z białej wełny, związanym w róg nad czołem, skakał najzapamiętalej,

Gdyśmy się obejrżeli na zakręcie przed wpadnięciem w tunel, wszyscy ośmioro wyglądali, jak garstka kamyków, podrzucana w powietrze czyjąś wesołą niewidzialną dłonią w grze nam nieznaney, w grze, która za każdym razem daje... cetno.

Potem, jak to zwykle bywa w teatrze, nastąpiła nagle sztuczna ciemność... Popłoch... szelesty... przytłumione śmiechy... I znów jaskrawe światło.

A w tem nieprawdziwie błękitnem świetle, na tle dekoracyj, z nieprawdopodobną zrzecznością zlepionych z olbrzymich bloków szarego kamienia i maluszkich, bladoróżowych kwiatów migdałowych,—ukazały się nam One same, cudowne marjonetki, śmieszne i zachwycające w swych białych szarawarach i czarnych czarzafach.

Napróżno jednak chcieliśmy odgadnąć z ich ruchów, która przedstawia przewrotną i złą Aminę, a która słodką i piękną Parysade?

Radzi nie radzi zajęliśmy się zkolei patrzeniem na inne figurki (te poprzebierane w fezy i turbany) choć raz wraz przesłaniały je nam obłoki dymu, wytryskujące z fajek za najmniejszym dotknięciem ich pomarszczonych ust.

Był już późny wieczór.

Usnęły kolana, otulone jedwabistym pledem, i usnęły ręce, do siebie przytulone, usnęły wargi, ukołysane uśmiechem, i piersi, leżące cicho w gniazdeczku z jedwabiu, i tylko oczy za nic, za nic nie chciały usnąć... patrzyły, patrzyły...

I nie wiadomo, kto nocy tej więcej widział: bezsenny księżyc, czy oczy czuwające?

A kiedy znowu przyszło rano, jak w bajce o żywej wodzie, wodą morza spryskane skały ożyły i wzięły na się postać cyprysów, kwitnących mimoz i palm!

Żelazny smok, dowlóklszy się ostatnim tchem do bram Zaczarowanego Ogrodu, przywarował na kończących się tu szynach.

Już nigdzie stąd nie wyjdzie. Po co? czy jest gdzie jeszcze na świecie tak pięknie?

I my już nigdzie dalej nie pójdziemy.

(Przynajmniej—w tym tygodniu).

Ci, którzy nas przyjęli pod swój płaski dach,—piękna, jak łania, Antica i ogorzały Stipe—ugościli nas młodem kozłęciami, gotowanem w mleku.

Spożywamy je w milczeniu, a nad głowami naszymi szumi laur.

Jeśli pójdziemy jutro zrana do pinjowego boru, będziemy mogli zrywać kwiaty szafranu i natrzeć dłonie kwitnącym rozmarynem.

...„O mój rozmaryniel!..“

Przez chwilę namyślałam się, czy nie otworzyć walizki...

Nie, nie otworzę. Mogę natrafić tam na maleńką szkatułkę i gotowa powtórzyć się historia z rybakim. Z tym rybakim z tysiąca i jednej nocy, co to wyłowił w morzu szkatułkę z Genjuszem, który go chciał zabić.

Nie pamiętam już, czy ów Genjusz miał także na imię — Tęsknota, ale wiem, że należy być bardzo ostrożnym, gdy ma się do czynienia z bajką, która jest rzeczywistością.

Zostawmy w spokoju na dzień podróźnej walizki maleńką szkatułkę, pachnącą naiwnie rozmarynem, i chodźmy lepiej popatrzeć na krwawą śmierć słońca, strącanego ze skały w głąb morza.

Może już jutro nie wzejdzie?...

Lapad w marcu.

Z KSIĄŻEK

Zofja Rościszewska: „Wstęgi“. Warszawa 1928. Nakładem księgarni F. Hoesicka. Str. 114.

Poezje p. Rościszewskiej są naprawdę wstęgami przy empirowym wianuszku, uwitym z bladych różyczek wspomnienia, tęsknoty, żalu po tem, co nigdy nie wróci, oczekiwania na to, co może nigdy nie przyjdzie.

Teraźniejszość jest postawem szarych, zgrzebnych nitek, szorstkich w dotknięciu, martwych w kolorycie. Całą barwę, soczystość, miękkość poetyckiego kobierca snuje wyobraźnia z zaczarowanego kłębka dzieciństwa, którego bajka została tam, gdzie stał „on“, dom rodzinny, „w ziemię zapadły jak brunatny grzyb“, kraj, którego napróżno szuka się na mapie za polską granicą — „mała niebieska Golgota“, dwór dziadunia („Poniatowski, zjedzony przez mole—stary gobelin w dziadunia własnym pokoju, mole szablę mu zniszczyły i czapkę dziwnego kroju“); stare cerkiewki, monastery z mnichami, czarnemi, jak kruki; stara karetta w wozowni „bez dyszla i bez stangreta, kiedyś cała adamaszkowa biała — babunia w niej do ślubu jechała“; weneckie smoki w serwantce „otwierały pozłacane paszcze“, w których wędły pierwsze fiołki; „na ścianach w starych ramach Pamiętniki Paska, pojedynki, jarmarki i łowy z chartami, w skrytkach biurka śpiewniki z białemi orłami i te krzyżyki czarne, co widziały Powstanie“; nawet „żydzi-staruszkowie“, co „mogli być w jasełkach, w papierowej, złotej koronie królami, nad którymi Dzieciatko wyciąga dłonie“—cały ten zaczarowany świat, w którym „młody był każdy dzień i każdy wieczór młody“, a nawet czas obracał klepsydrę tylko dla zabawy.

Z tych tradycyj i nastrojów dworu kresowego wywodzi autorka „Wstęg“ swój rodowód poetycki. Opowiadania piastunki, dalekie echo teorbanu, świst wichru jesiennego w kominie—wykołysały rytm tych lirycznych westchnień, jęków, skarg, poszumów i przyśpiewów, z których czasem żywiołowym krzykiem przemówi cierpiąca i przeciw cierpieniu zbuntowana dusza kobieca. („Noże“. „Nie wiadomo“). Częściej jednak haftuje drobnymi paciorkami słów zblakłe gobeliny sentymentu.

Ciekawe tu są dwa nurty estetycznych upodobań, czerpiące swe źródła w odległej przeszłości: słabość do motywów à la Watteau i do bizantynizmu.

Aż wreszcie, kiedy „dorosłe myśli wszystko zmaciły, zepsuły, zatrwały”, poetka ogląda się z rozrzewnieniem za „grzechami dzieciństwa” i „nie zimnej katedry, nie męczenników z witraży”, ale „siebie—dziewczynki umarłej prosi o rozgrzeszenie”. („Prośba o rozgrzeszenie”). I to jest może najpiękniejszy, najoryginalniejszy wiersz w całym zbiorze. S. P. O.

Z TEATROW

TEATR POLSKI:

„Don Kichot” — fantazja dramatyczna w 10 obrazach, Słowa Miłaszewskiego, Reżyserja Karola Borowskiego. Dekoracje i kostjumy Karola Frycza.

Don Kichota zgubiły książki. Te same, które Gustaw w „Dziadach” nazywa „zbójceckimi.” Dzięki nim—zatracił poczucie rzeczywistości, zyskał cudowną władzę życia fikcją, stał się poetą, który nie inkaustem na martwym papierze, ale krwią własnego serca wpisuje w pulsującą księgę życia czarodziejskie głoski jemu tylko jednemu zrozumiałego marzenia. Zbudzenie się ze snu złudy jest śmiercią poety. — „Jestem zdrow, więc umieram”—mówi Don Kichot Miłaszewskiego w ostatniej odsłonie, i te słowa dostatecznie wyraźnie uchylają rąbek myśli autora, który dojrzał bratnią duszę poety, rozmiłował się w niej i otoczył nimbem najtkliwszego, jakby macierzyńskiego uczucia.

Z tego sercowego źródła wypłynął czysto liryczny stosunek poety do Don Kichota i zdecydował ostatecznie i nieodwołalnie o typie utworu, który autor nazwał „fantazją dramatyczną.” Kto wie, gdyby podszedł do tematu od strony mózgowej, kalkulacyjnej, na chłodno obtoczył go i wyszlifował na warsztacie teatralnego rzemiosła—możeby udało się go ściślej zespolić z rzeczywistością sceniczną i bardziej despotycznie narzucić wrażliwości widza.

Tak, jak jest, pomimo realizmu poszczególnych scen, pomimo groteskowości postaci Sanszo Pansa, karczmarza, wiejskich dziewczuch i t. d.,—całość unosi się niejako w powietrzu. Tkwi w tem poniekąd utajony, a subtelny zamiar poety, który chciał wykazać przepaść, dzielącą świat marzenia od świata rzeczywistości. I tu wzięły na nim odwet dwie Muzy, mściwe, jak Erynje: Muza własna i Muza Cervantesa. Głęboki talent liryczny Miłaszewskiego, o skłonnościach kontemplacyjnych i filozoficznych, stanął do bohaterkiej walki z wiatrakami pospolitych szablonów teatralizacji. W tej walce Cervantes był mu raczej przeszkodą, niż pomocą. Bowiem drogą niesłychanie śliską jest opracowywanie tematów nadmiernie spopularyzowanych. Wszyscy znamy historję Don Kichota. W kalejdoskopie jego przygód niema dla nas niespodzianek.



Scena z „Don Kichota”: Don Kichot: Marjusz Maszyński, karczmarz: H. Małkowski

I dlatego żywsze zainteresowanie wzbudziły te sceny, których fabuła była dla wielu widzów nowością: wesela w lesie i Sanszo Pansa, jako gubernator. Dodać należy, że te dwie sceny mają najwięcej dramatycznego napięcia i każda z nich stanowi przesłaniczną, zamkniętą w sobie feerję. Duża to zasługa reżyserji Borowskiego i dekoracyj Frycza, które zgodnie wtórowały intencjom poety, nie zagłuszając ich, ani wypaczając. Gra artystów stała naogół na wysokim poziomie, choć nie we wszystkich momentach była szczęśliwa. Maszyński stworzył doskonałą sylwetkę fizyczną Don Kichota, ale jego profil duchowy chwilami zamazywał pewną chwiejnością w ujęciu. Nie należy zapominać, że Don Kichot jest warjatem tylko dla swego otoczenia. Oscylując między szaleństwem a natchnieniem, Maszyński zbytnio przechylał się na stronę obłąkania.

Samborski był świetnym Sanszo Pansą. Szekspirowską groteskowość okupił szczerze perłami wrzuszających epizodów, np. w scenie z osiołkiem, podczas rezygnacji z fikcyjnego gubernatorstwa.

Na zakończenie—parę słów o języku. W epoce, kiedy mowa nasza jest tak bezczelnie poniewierana przez rozmaite samozwańcze sławy, należy się prawdziwe uznanie Miłaszewskiemu za nieskazitelny, kryształowy język. Taką rasową polszczyznę ma się we krwi. S. P. O.

NAKRYCIE GŁOWY A DACH

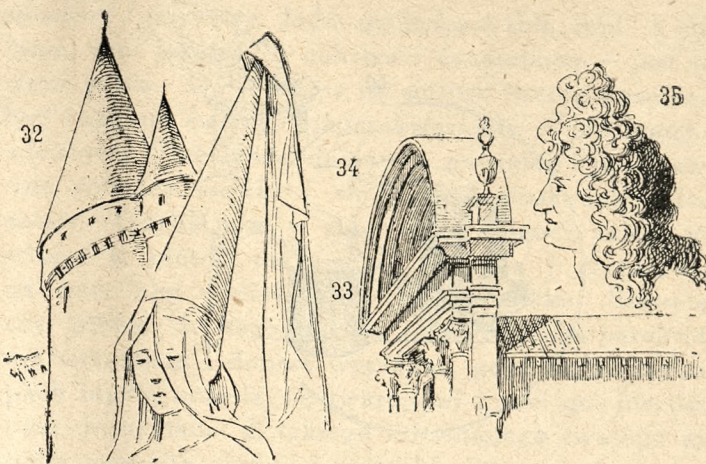
Podobnie ma się i na Zachodzie. Wysokie, stożkowe nakrycia głowy pięknych dam średniowiecza stoją w ścisłej analogji ze szpiczastymi dachami wież gotyckich.

— No tak, — rzeknie ktoś, — to było możliwe w czasach naiwności i dziecięcej prostoty, gdy żadna sztuczność nie była znana. — Pięknie. Lecz co w takim razie powiemy o wieku Ludwika XIV, wprowadzającym w życie uroczystą i pompatyczną perukę, która, maskując indywidualność, czyni z człowieka aktora, mającego za zadanie reprezentację — tak jak reprezentację miały na celu pompatyczne fasady ówczesnych pałaców i świątyń, przyklejone nieraz do gotyckich naw.

Niejednokrotnie takie nakrycie głowy podkreśla charakterystykę fizjognomji. Podziwiasie spokojną piękność owej kobiety greckiej i regularność jej rysów; — wspaniale harmonizuje z przepaską, będącą czemś w rodzaju trójkątnego frontonu, która podkreśla naturalną harmonję oblicza klasycznej damy. A ten fronton ma zupełnie taki sam kształt, jak fronton świątyń attyckich.

Jako przeciwieństwo tej harmonji, nasuwają się nam twarze mieszkańców wysokich płaskowzgórz Alp, Mongolji i japończyków, z ich skośnymi oczami i wystającymi kośćmi policzkowymi. To też w ich nakryciach głowy, jak i w ich świątyniach, dominuje linja krzywa,

Prawdziwym rajem, opiewanym przez poetów i artystów wszystkich czasów, jest półwysep Apeniński.



32. Dachy wież zamków feudalnych. 33. Strój głowy, noszony przez modne damy XII wieku. 34. Barokowy fronton, doczepiony do nawy gotyckiej kościoła Saint-Gervais w Paryżu. 35. Peruka z czasów Ludwika XIV.

Tam, wśród harmonijnej przyrody, niema miejsca na kąty ostre i na męczące sylwety.

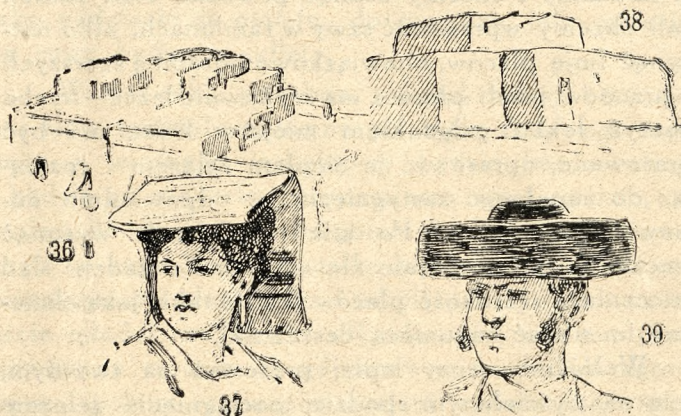
Domy są tam płaskie, zakończone tarasami, gdzie podziwia się czar pięknych nocy. Dominuje w ich konstrukcji linja pozioma i ona też określa charakter nakrycia głowy mieszkanki rzymskiej Kampanij,

Całkiem inne panują zwyczaje na półwyspie iberyjskim. Jego mieszkaniec jest ponury, zamysłony, podejrzliwy. Długie panowanie maurów urobiło w tym sensie jego charakter.

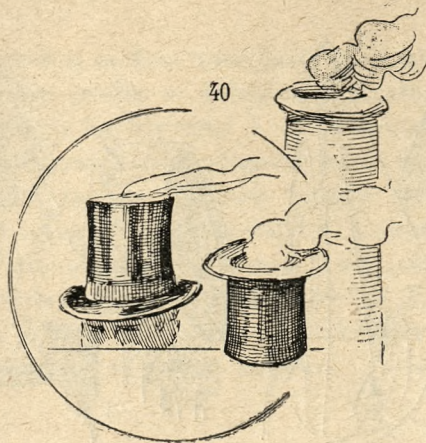
Jego dom — to forteca — broniona przed niepowołanym potężnymi murami i kratami. Jakiegoż bardziej wymownego przykładu potrzebujemy, jak ten dom z Elche? On tak harmonizuje z charakterem właściciela, że określa formę jego sombrera, którego czarna barwa podkreśla siłę ognistego wejścia hiszpana.



22. Studnia do ablucji w meczecie kairskim. 23. Domowe nakrycie głowy niewolnicy tureckiej. 24. Turban męski z okolic Suzy. 25. Nakrycie głowy kurdy. 26. Isman Zade Toul. 27. Strój głowy szacha perskiego dawny. 28. Kopuła meczetu w Hasret, w Turkiestanie. 29. Grobowiec Marabuta. 30. Kask saraceński. 31. Kabyl algerijski.



36. Płaskie dachy domostw włoskich. 37. Mieszkanka Sonino (prowincja rzymska), strojna w amandille. 38. Domy w Elche (Andaluzja). 39. Mężczyzna z ludu, ubrany w sombrero (Elche).



40. Komin fabryczny i... cylinder.

Lecz zatrzymajmy się już w tem cytowaniu przykładów, których liczba mogłaby wzrastać w nieskończoność; przyczem same tylko stroje i nakrycia głowy naszego ludu dałyby ogromne pole do ciekawych rozważań i wniosków.

L. Ż.

JAK PRASOWAĆ I DEKATYZOWAĆ W DOMU MATERJAŁY

Niedoceniane jest ogólnie przez niezawodowe osoby, jak wielkie znaczenie w krawiecczyźnie ma prasowanie i dekatyzowanie materiałów. Czy to suknia, czy okrycie zupełnie inaczej wyglądają w robocie, jak po uprasowaniu, zwłaszcza, jeżeli pociągnięcie żelazkiem jest umiejętne. Od osoby fachowej, wypraktykowanej w pierwszych magazynach, miałam sposobność dowiedzieć się szczegółów, które, sądzę, przydadzą się moim Czytelniczkom i zaciekawia je, pośpieszam więc podzielić się z nimi wskazówkami. Otóż jeżeli wskutek szycia w ręku, lub na maszynie, materiał naddamy i chcemy usunąć powstałe stąd fałdki, jeżeli chcemy wprasować szwy w ramionach, albo rozciągnąć linję pleców, obowiązkowo odrobinę szerszych od przodów, jeżeli płaszcz ma szykownie leżeć—trzeba zmoczyć lekko gałgankiem miejsce, które ma być wprasowane, uprasować je ciepłym żelazem i rozciągnąć do zupełnego zastygnięcia na odpowiednio dopasowanej deseczce. Po kilku godzinach wysunąć deseczkę — na materiale nie pozostanie żaden ślad zgniecenia, a szerokość pleców będzie taka, jaką chcieliśmy im nadać zapomocą deszczułki.

Wełniane rzeczy lepiej prasować na twardym, a nie na wyściełanym spodzie: pociągnięcie żelazem zyskuje na dokładności. Do prasowania materiałów trzeba mieć wilgotny ręcznik, przez który prasować będziemy, aby nie wyswiecić materiału. Żelazo musi być gorące, równo prowadzone, nie przyciskane zbyt

mocno, żeby się nie odznaczyło na materiale. Materiały grube trzeba prasować między dwoma mokremi płótnami, a ślicznie wyjdą: najbardziej pogniecione wyglądać będą, jak nowe, i nie wyswiecą się z żadnej strony, a nawet wyswiecone—odzyskują dawną barwę.

Jeżeli suknia wskutek zmożenia deszczem pogniecie się i wyjdzie z fasonu, trzeba wyciągnąć ją równo, ułożyć fałdy, wygładzić załamki i włożyć na manekin do wyschnięcia; kto go nie posiada, niech powiesi suknię u sufitu na szerokim ramiączku. Dla odświeżenia zgniecionej na sucho sukienki, trzeba rozgrzać bardzo mocno żelazo z duszą, nakryć je szczelnie kawałkiem grubego mokrego płótna i, kiedy paruje, oprowadzać je naokoło pogniecionej sukni, nie dotykając jej: wydzielająca się para wyrówna wszelkie załamki, a schnąc powoli, nada materiałowi sztywność i apreturę nowości. W ten sposób odświeża się również plusz, aksamit i welwet. Co do rozprasowania szwów w robocie, zwrócę uwagę, że trzeba, rozłożywszy je i zwilżywszy mokrą gąbką, ułożyć równo na twardej deseczce i prasować bez specjalnego wyciągania, pilnując tylko prostej linii, żeby szwy nie „wyły”.

Równie ważnem, jak prasowanie, jest dekatyzowanie materiałów, każdy, bowiem, przy praniu poraz pierwszy kurczy się. Zauważyliśmy nieraz pewno, że letnia suknia, niewiele nawet noszona, po upraniu zrobiła się za krótka i za ciasna: uniknęlibyśmy tego, gdyby materiał przed skrajaniem był zdekatezowany. Wszelkie zatem materiały zimowe, czy letnie, wełniane, czy bawełniane, nawet płótno—powinny być przed uszyciem zdekatezowane w sposób następujący: rozłożyć materiał: perkal, satynę, batyst, etaminę, płótno jedwabne, lub lniane równo—na desce, nakryć je prześcieradłem, zmoczonem w czystej wodzie, wykręconem lekko ze zbytnej wilgoci, i prasować gorącym żelazem prędko i równo, koniecznie po prostej nitce wzdłuż. Tak uodporniony materiał bawełniany nie skurczy się po praniu. Wełnę cieką dekatyzuje się tak samo; grubą—kładzie się między dwa zmoczone płótna i prasuje przez nie gorącym żelazem równo, powoli, z obydwóch stron, dopóki materiał zupełnie nie wyschnie. Bardzo grube materiały trzeba rozłożyć płasko, nakryć zupełnie mokrem, tylko osączonem z wody płótnem, zwinąć ciasno w wałek i zostawić kilkanaście godzin w spokoju. Kiedy wilgość z prześcieradła prawie zupełnie przejdzie w materiał, wziąć suchy magłownik i doskonale wymaglować, a następnie uprasować przez lekko zwilżone płótno. Dekatyzuje się nawet miękkie jedwabie, zwłaszcza używane na bieliznę, jak crêpe de chine, surowy jedwab i inne, lecz tylko naturalne: sztucznych jedwabi nie dekatyzuje się wcale. J. S.

SPROSTOWANIE:

W N-rze 4 „Bluszczu“ na str. 23 mylnie wydrukowano adres magazynu konfekcji damskiej „Ludwika“, Nowy Świat 81 — powinno być: Nowy Świat 41

JADŁOSPISY WIOSENNE

Klimat nasz surowy, a poniekąd brak, a raczej drożyzna jarzyn sprawiają, że zimą w przeważnej liczbie rodzin jada się dania mięsne i mączne tylko, te ostatnie bardzo tłusto zaprawione; — jarzyny i sałaty zielone zjawiają się w dniu przyjęć, uroczystości rodzinnych, lub święta. Z najwcześniejszą wiosną, z chwilą, gdy na targach zjawiają się sałaty, rzodkiewki, szpinak, rabarbarum, gdy stanieją jaja i jest możność zdobycia lepszego, niż zimą, nabiału — jadłospisy nasze należy poddać gruntownej rewizji. Nie idąc tak daleko, jak zapaleni reformatorzy kuchni, którzy chcieliby ludzkość żywić, za przykładem naszych praojców z raju, tylko samymi surowiznami, zalecając na zupełny ryż, rozmoczony w zimnej wodzie, dla smaku zaprawiony również rozmoczonymi figami — potrawę, która po odrzuceniu fig doskonale nadawałaby się do sztywnych koszul męskich, — sądzę, że z korzyścią dla zdrowia naszego byłoby dodawanie do każdego posiłku pewnej ilości surowych, lub gotowanych młodych jarzynek i wprowadzenie jaknajwiększej ilości jaj, sera, mleka itp. zamiast mięsa. Jak zwykle w kuchni, chodzi głównie o pomysłowość: chętna gospodyni potrafi do nieskończoności urozmaicać dania z tych samych materiałów, które, leniwa, wciąż w jeden i ten sam sposób przyrządzając, nuży niemi śmiertelnie swoich domowników.

Wiemy, naprzykład, jak wiele osób nie cierpi cielęciny wprost dlatego tylko, że przez całą wiosnę, a raczej już od nowego roku, jadają ją codziennie, lecz zawsze tylko w postaci pieczeni, potrawki z białym sosem, sznycla, lub kotleta, w smaku jeden od drugiego wcale się nie różniących, a w wyglądzie jedną kostką tylko, stanowiącą nierozłączną całość z kotлетem. Tymczasem jedna z moich koleżanek w „Bluszczu” dała przed kilku tygodniami jadłospis na cały tydzień, ułożony nietylko z samej cielęciny, lecz nawet z jednej ćwiartki cielęciny, czyli bez główki, nóżek, wątróbki i innych części cielęciny — a jednak żadna potrawa tam się nie powtarzała, i nikt, najbardziej grymasny, nie mógł narzekać na nużącą jednostajność.

Zupełnie to samo ma miejsce ze stosowaniem w kuchni wiosennej potraw z jaj.

Ale nie będę tej wiosny podawać zbyt dużej ilości tych potraw, gdyż wydana niedawno w „Życiu Praktycznym” książeczka: „100 potraw z jaj” chwilowo wyczerpała całą moją erudycję jajeczną, a zanim zaczerpnę nowych wiadomości i wypróbuję nowe kombinacje smakowo-jajeczne — dużo czasu i wody upłynie.

Oprócz jaj, świetnym materiałem kuchennym jest ser świeży, czyli właściwie twaróg. Najlepiej jest, oczywiście, spożywać go na surowo: ze śmietaną kwaśną, słodką śmietanką, lub mlekiem, jest zawsze równie

smaczny i pożywny. Jedni go jedzą z solą, inni — z cukrem, inni jeszcze — z cukrem i cynamonem — jest to rzecz gustu. Do jedzenia na surowo twaróg powinien być zupełnie świeży, nieprzekwaśniały i nie mocno odcisnięty. Przeciwnie, do potraw powinien być wprawdzie również świeży i słodki, lecz doskonale odcisnięty. Gdyby miał w sobie dużo wilgoci, należy go włożyć w płótno, przycisnąć deseczką i ciężarkiem na noc, aby odeszła zeń cała serwatka. Serwetę, czy płótno do tego użytku sparzyć trzeba parokrotnie wrzątkiem i dobrze wypłókać, gdyż najłżejszy zapach mydła udziela się twarogowi i robi go niezdatnym do użytku. Z takiego odcisniętego twarogu robimy rozmaite pierogi i pierożki, gotowane i pieczone we wszelkiego rodzaju ciastach, od naleśników zaczynając, do francuskiego listkowego włącznie. Smażone mędrzyki do kwaśnej śmietany i gotowane pierożki leniwe, polewane słoninką lub masłem, budyn z sera z rozmaitemi sosami, a nawet z syropem owocowym — dają nam duży wybór dań do bezmięsnych obiadów, różne suflety z sera, lub z dodatkiem sera, urozmaicają codzienne leguminy.

Wszelkie zupy mleczne, chociaż nie przez wszystkich lubiane, są nadzwyczaj zdrowe i pożywne. Ale jeżeli nie każdy lubi ryż, lub kluseczki lane na mleku, to każdy chętnie zje zupełny z młodych, lub nawet z zimowych jarzyn, kartoflaną lub fasolową, zupełną szparagową, lub kalafjorową, zaprawione na mleku, zamiast na rosole. Wszelkie zupy o jarzynowym smaku, zaprawione zamiast kwaśniej śmietany, śmietanką słodką, lub wprost mlekiem słodkim z dodaniem łyżki śmietankowego masła — mają smak wykwintniejszy, delikatniejszy od tych pierwszych, robionych starą metodą, gdyż dawna kuchnia, oprócz śmietany, innej zaprawy nie uznawała.

Z jarzyn przedewszystkiem szpinak we wszelkich postaciach, a zatem jako jarzyna samodzielna (francuzi go już nie siekają, nie fasują, nie mordują, jak dawniej, lecz zaprawiają pokrajany tylko w grubą kostkę, co jest dużo apetyczniejsze na wygląd), — jako nadzienie do omletu, do rawjolek, jako materiał na zupy, budynie, suflety.

W tym roku, podobno, wskutek ostrej, bezśnieżnej zimy poginęły ogromne plantacje zimowego szpinaku, a wiosenny inspektowy będzie bardzo drogi i będzie go niewiele, przypominam więc paniom, że można do szpinaku, szczególnie fasowanego i używanego na zupełny, dodać nietylko szczawiu, co daje kwas, niezawsze pażądany, lecz i młodą pokrzywkę, a nawet liście młodej rzodkiewki. Rzodkiewki, zjadane przeważnie na surowo, — udużone w masle lub ugotowane i polane rumianem masłem z bułeczką stanowią wykwintną jarzynkę, szczególnie dającą się zastosować tam, gdzie pochodzi ona z własnego ogrodu, a zbytu korzystnego na nią znaleźć nie można. W miastach da się użyć dopiero wtedy, gdy znacz-

nie stanieje. Z jarzyn zimowych mało co się już da teraz użyć: wszelkie marchewki, brukwie i buraczki tak nabrały piwnicznego zapachu, tak stwardniały i zdrewniały, że nawet na smak do zup i rosółów lepsza jest od nich włoszczyzna suszona.

Tylko bulwy włoskie, wykopane przed wypuszczeniem zielonych pędów, dadzą się przechować tygodni parę, nie tracąc smaku; pory, wydobyte z grzęd, na których zimowały, przed wypuszczeniem łodygi kwiatowej, i pasternak przezimowany bądź na gruncie, bądź też w jamach—nie tracą wiosną smaku i dają się przyrządzać, jak zwykle, to jest przy ugotowaniu, jak szparagi i polane masłem z bułeczką; bulwy tak samo podane, lub też osmażone w tłuszczu po ugotowaniu i panjerowaniu. Pasternak, ugotowany i pokrajany w plastry, utarzany w mące, jajku i bułeczce i usmażony na szmalcu lub fryturze, jest wyborny, chociaż mało znany. Rabarbarum, zwykle używany w kompocie lub do przekładania kruchego i francuskiego ciasta,—po uprzednim zblanżerowaniu uduszony, z pieczenią wołową lub wieprzową stanowi wcale niezłą, o kwaskowym, orzeźwiający smaku jarzynę.

Nakoniec, najważniejsza ze wszystkich jarzyn wiosennych, we wszelkie odżywcze witaminy obfitująca, sałata zielona, którą, według wskazówek współczesnych lekarzy, mamy jadać po dwa, trzy razy dziennie. Jest tyle sposobów jej przyprawiania, że niepodobna tutaj wszystkich wyliczać. Dla większej części pań i kucharek ściśle z sałatą związanymi pojęciami są kwaśna śmietana i jaja, na twardo ugotowane. Nie negując dużej smakowej wartości tych dwóch artykułów, przypominam jednak, że francuzi i włosi (a ci ostatni sałatą, obok makaronu i pomidorów, pra-

wie że się żywią)—sałatę jadają z oliwą tylko i z sosem cytrynowym lub octem winnym; że wszelkie sosy majonezowe, musztardowe itp., wybornie z sałatą zieloną smakują; że szwajcarzy jedzą sałatę ze słoniną i octem, i nakoniec, że kuchnia francuska, zawsze dla nas prawzór stanowiąca, z sałatą głowiastą przyrządza szeregi dań gorących. No, ale od sałaty głowiastej dzieli nas jeszcze przynajmniej miesiąc czasu, więc potem o tem.

Pani Elżbieta.

KORESPONDENCJE

Panu F. W. — Chorzemin. Najradykałniejszym środkiem będzie wypranie i wygotowanie pierza w luźno związanych workach, postępując z nimi, jak z brudną bielizną. Po należytem wypraniu, wypłókanu i wyciśnięciu przez wyżymaczkę, przełożyć mokre pierze w suche worki i suszyć, najlepiej na powietrzu. Po zupełnem wyschnięciu wytrzeć dobrze worki trzepaczką, ponakładać w wyprane świeżo wysypki, a pierze będzie jak nowe, i mole zginać zupełnie.

Pani M. O. — Bałszowce. Firanki batystowe można rozmereżkować, łącząc mereżki z haftem angielskim. Brzeg zakończyć obrębem mereżkowym, będzie to bardziej tegocześnie. Motywy siatkowe dadzą się również zastosować. Wszywa się je w sposób następujący: miejsce, gdzie ma być wszyty motyw, podkłada się kawałkiem sztywnego papieru, nafastrygowywa się motyw i wszywa wokoło okrętką. Dopiero po wyprasowaniu i odpruciu podłożonego papieru, wycina się materiał z pod spodu. Nie wycina się naprzód materiału, nigdy i w niczem. Można również wszywać motywy maszynowo, ale na to trzeba albo mieć, albo móc oddać robotę do okrętkowej maszyny. Tytuł do haftu dostanie Zsan. Pani w Warszawie u Hersego, (Marszałkowska 150), albo u Rozmanit (Osolińskich Nr. 8). Pod tiul zamiast kalki można podłożyć sztywny papier, najlepiej ceratkę. Kilimów łowickich dostać można u Góldzinowskiego (Al. Jerozolimskie 21).

- 1) Wiek eksternisty ograniczony nie jest.
- 2) Zapisać się do wyższego zakładu, jako wolny słuchacz, można. W pierwszym rzędzie jednak z pracowni seminarjów i t.d. korzystają słuchacze rzeczywiście — ilość miejsc jest bowiem najczęściej ograniczona.
- 3) Po złożeniu matury semestry przesłuchane mogą być zaliczone, po złożeniu odpowiedniego podania.

KOMPLETY TKACTWA RĘCZNEGO ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ
WSPÓLPRACOWNICZKĘ DZIAŁU
ROBÓT W „BLUSZCZU”.

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO I OD 3 DO 5 PP. — TEL. 273-34

LABORATORJUM HIGIENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów Dr. J. ŚWITALSKIEJ

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Maść na łupież. „Mój krem” tłusty i suchy. „Mój krem” przeciw zmarszczkom „Mój puder”. Krem cytrynowy. Krem poziomkowy. Galaretki na rozszerzenie porów i łojotok. Perłki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe i liljowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na pięgi.

HIGIENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700.

Wszelkie reklamacje załatwia Ekspedycja „Bluszczu” — Górnośląska 19, tel. 244-75.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.